

# ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XVIII.

Warszawa, dnia 1 maja 1926 roku.

Nr. 18.

ALEKSANDER ALFRED KONAR.

POWIEŚĆ Z CZASÓW PRZEDWOJENNYCH

## BEZ SERCA.

18)

— Zgadzam się z tobą w zupełności — zwróciła się do barona. — Ale pan z nami jeszcze zostanie, L'excellent causeur otrzyma kieliszek doskonałego Henessiego — wydała odpowiednie rozporządzenie — i wynagrodzi nam tę mękę z „nieoszlifowaną drewnianą piłą”.

Baron przyjął zaproszenie i, rozkoszując się nektarem, jaśniał dziś swemi salonowemi paradoksami z nieistniejącą już towarzyską finezją, bardziej niż kiedykolwiek.

— A to drewniana piłą! — upierał się przy koniaku w swojej definicji pan małżonek.

— A tak łatwo było nie włożyć na śniadanie smokinga! — ironizował ex arbiter elegantiarum — pan baron.

— Bardzo trudno, kiedy się nie wie — usprawiedliwiała dość miękko swego szwajcarskiego przyjaciela pani Hela.

— Należy wiedzieć, że się nie wie — gromił nieubłagany dziś małżonek.

— Żądacie państwo od biednego chłopca zbyt wiele — broniła go pani Hela. — Któż z nas wie o tem, że nie wie?

— Brawo! Czy zna pani moje jedenaste przykazanie?

— ?...

— „Znaj siebie samego, jak bliźniego swego”. He, he! co?

— Doskonałe!

— Choć i mędrsi od tego młodzieńca grzeszą najkompletniejszą autoignorancją — zdecydował pojednawczo baron.

— Ależ nie każdy debiutant potyka się na pierwszym występie — zaopinjował pan małżonek. — Bo wystarcza trochę odwagi, aby odgadnąć intuicyjnie rzeczy, których się nie zna.

— Jesteśmy srogimi sędziami ludzi, których nie lubimy i vice versa — gromiła męża żona.

— Ta intuicyjna pańska odwaga zowie się talentem — ujął się za Jankiem pan baron. — Niestety i mnie na odwadze zbywało. Wybaczycie — westchnął baron — że mówię pro domo mea zwyczajem ludzi starszych, nie mających jutra, cytujących dlatego „wczoraj”. Wiecie państwo, że jako znawca literatury, sztuki, a specjalnie muzyki, urodzony przytem teatroman, dzięki moim ówczesnym stosunkom — zostałem ongi wybrany na stanowisko prezesa teatrów. Żadnemi wybitniejszymi od moich zdolnościami nie grzeszyli ani moi poprzednicy, ani następcy. Wysokie stanowiska są najczęściej przedstawicielskimi synekurami; bo przecież łatwiej jest rozkazywać, niż samemu coś zrobić. A jednak nie z lenistwa, ani nie ze

zbytku innych dochodów — podałem się po 3-ch miesiącach do dymisji, zazdroszcząc tej pewności siebie, z jaką mój następca, ani o włos nie zdolniejszy ode mnie — krytykował wszystkich poprzedników — przeświadczony, że to jedynie on jest the wright man on the wright place. Dlatego on teatru nie opuści, bo bez niego teatr by zginął. Szczęśliwiec!

— Brak wiary we własne siły tworzy l'improductivité slave.

— Czy pani sądzi, że przecenianie własnej siły jest mniejszą wadą, niż niedocenianie?

— Bezwarunkowo. Lepiej jest robić źle, niż nie robić wcale.

— Są nawet w tym sensie dwa łacińskie przysłowia — ujął się za żoną małżonek: 1) Errare humanum est i 2) audaces fortuna juvat.

— Trzeba chcieć — chcieć — upierała się pani Hela.

— To hasło młodych — zdecydował baron. — Lecz starość — to utrata ochoty udawania czegoś, czem się nie jest. Choć ja nawet w młodości wstydzilem się zawsze złej roboty. Niezależnie od tego, że wiedziałem, iż ambicja — tak, jak arszenik: W małej dawce ocala chorego, w wygórowanej zabija.

— Znana rzecz, że jest pan sceptykiem.

— Nie wierzę w mój sceptycyzm.

— To jest już szczyt sceptycyzmu nie wierzyć w swój własny sceptycyzm. Nawet margrabina uważa pana pour un charmant causeur, żonglującego przewartościowywaniem wartości.

— Choć ja zawsze unikałem krasomówstwa — przekonany, że patos to efektowna maska myślowej jałowości. I zazdrościłem swiniom, że nie kłamią dlatego, iż nie mówią.

— O, świnia jest gołębiem w porównaniu z człowiekiem.

— Lecz człowiek posiada takt.

— Takt to nieprawdy syn mamy Taktyki.

— Kto by tam dziś mówił o takcie. Połowa obecnych ludzi nie potrafi zdobyć się na towarzyską uprzejmość; a drugiej połowie się nie chce.

— Dlatego też flirt to rzecz przedpotopowa.

— Requiescat in pace. Flirt — to czule słówka bez temperamentu. A miłość — to temperament bez czułych słówek.

— O! Miłość to jedyne wieczne uczucie, z którym nie rozstajemy się do śmierci.

— Miłość jest wieczna.

— Szkoda tylko — sceptyzował baron — że przedmioty miłości się wciąż zmienia. Niezmienna miłość uchodzi teraz za psychopatję. Bo miłość, jak eter, czasami zabija, a czasem ulatnia się.

— Bo człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi.  
— Dobry strzelec nie daje Panu Bogu kul nosić.

— Naturalnie — żarcikował małżonek. Bo nie miałabyś za co dziękować Bogu za zwierzynę, którą ty upolowałaś w Lucernie.

— Mój drogi, wszyscy ludzie tracą na bliższym poznaniu. A najsympatyczniejsi jeszcze są ci, których znamy jedynie z widzenia.

— Lecz poszukuje się ich wiecznie dlatego, iż ocalają nas od największego naszego wroga: od własnych myśli wśród samotni.

— Ja wolę samotnię. Bo dusza moja, jak chory na żołądek: nie trawi cierpkości życia. Samotność! Cóż za rozkosz!

— I cóż za męka! — dokończył baron.

— Twoja nadwrażliwość pochodzi z wygórowanej ambicji — zakonkludował małżonek.

— Czy wolałbyś, abym jej nie miała?

— Słyszałaś, jak słusznie baron porównywał ją z arsenikiem.

— O! Baron — to satyr. Przecież on nie wierzy nikomu. Nawet samemu sobie.

— W każdym razie — spieszył już do biura pan Krysztoff Knoff — nie pojmuję, jak mogłaś trawić w Lucernie tego gryzpiórka.

— Byłam samotna, a on był bardzo grzeczny, uczynny. Nosił mi pled, hamaki, ekspedjował kufry. Więcej go już nie zobaczysz, no, i ja — nie. Na to ci przysięgam. Słyszałaś przecież, że przenosi się do Radomia, czy też do jakiegoś innego Łowicza.

— Bardzo odpowiednie dla niego miasta.

— Tout passe, tout lasse, tout casse — zdecydował sentencjonalnie baron, wykrzywiając się zwykłym swoim grymasem dla przytrzymania spadającego mu monokla. I komplementował śniadanie, któremu podług wiele znaczących jego słów nie można było nic zarzucić, ani pod względem kulinarnym, ani pod względem usługi, ani pod względem doboru win, kwiatów i nakrycia.

— Szkoda tylko — zakonkludował — że zaproszony gość nie dorósł do uświadomienia, jak był przyjmowany.

— Niech go tam! — machnął ręką z wyrozumiałością króla Menelausa pan małżonek. — Zasłużył on sobie usługami, które zagranicą oddał mojej żonie. Jestem mu za nie szczerze wdzięczny wobec faktu, że Lucerna bardzo dobrze wpłynęła na stan nerwowy Heli. Bo przyznać jej trzeba, że przed tym wyjazdem stawała się w domu nieznośną. I jestem bardzo zadowolony z lekarza.

— To ten młodzieniec jest lekarzem? — wyrwał się naiwnie baron.

— Ależ skądże? To profesor Baranowski wybrał dla Heli Lucernę, która okazała się cudotwórczą.

— Po udanej kuracji zdarza się, że chory umiera, — pomyślała pani Hela.

## VIII.

Panią Helę ogarnął stały wstręt do lucernejskiego lekarstwa i postanowiła nie powtarzać do końca życia podobnej „cudotwórczej” kuracji. Lecz posiadała zbyt wiele charakteru, aby powrócić znów do dawnej kanapowej wegetacji beczynnej haremowej odaliski, żyjącej wyłącznie niezdrowymi marzeniami. Bo stanowczo sprzykrzyły się jej otrzymane w postaci upragnionych dziecięcych zabawek, zdobyte z trudem „zaszczytne” stosunki towarzyskie i wielkopańskie urządzenie domu, „jak się patrzy”. A wśród tej całej

handry jałowego życia, wystarczającego jedynie biernej apatji odalisek — męczył całe wnętrze jej jaźni — jej charakter nieustępliwy, buntujący się, czynny i wrażliwy. Na pensji pani Pauliny Krakowowej zauważono już tę jej nadwrażliwość, wskutek którego stara francuzica trafnie zawyrokowała, że *Hélène est très rancunière*.

Tak. Choć nie zdawała sobie sprawy z własnych powiedzeń, nieraz bardzo sarkastycznych i dotkliwych — nie zapominała nigdy najdotkliwszego ukłócia szpileczką, sprawiającego jej nigdy niezabliżniony ból, okrutniejszy, niż, kiedy innych obuchem się uderzy. Aż bratowa i siostra zawyrokowały, że ona sama posiada dotknięcie słonia, a jej skóra ma — wrażliwość mimozy.

Uświadomiona teraz najdokładniej przez męża co do jej naiwności w traktowaniu spraw spadkowych — nie mogła uspokoić się, jak brat rodzony i szwagier mogli korzystać z niedoświadczenia chorej macochy wdowy i małoletniej sieroty. Jak mogli, splecając działy spadkobierców, korzystać z braku prawnej bronii przeciwko krzywdzie, dzięki której stali się bogaczami, a matka, gdyby żyła, pozostałaby wraz z nią w nędzy. Nie chodziło jej o krzywdę materialną, nieważną w jej obecnym położeniu, lecz o sam fakt krzywdy.

Jak mogli! I jak mogą dotychczas oni sami i wszyscy, do nich podobni spać spokojnie i udawać przed światem i przed sobą ludzi w porządku, kiedy nimi nie są.

— Jak można? — powtarzała sobie często, przejęta do szpiku kości każdym spotykanym dowodem nielojalności i obłudy — sama w gruncie etyczna i usiłująca być zawsze w porządku z samą sobą.

Lecz ta jej rancuerie za drobiazgi, za grymas, za skrzywienie palca w bucie, choć nie doprowadzała jej wprawdzie do pragnień zemsty, ani do wybuchu scen, przekomarzań i wymówek — bo posiadała zewnętrzny spokój i estetyczną równowagę — nie gasła jednak w głębi niej nigdy. Sprawiała jej przykre bóle, jak od zatrutych szpileczek. I zrażała się nietylko do znajomych, lecz i do najbliższych, nawet do męża, co do którego dręczyła ją myśl, że i ona także od czasu Lucerny — nie była z nim w porządku. Niestety!

W swojej nadwrażliwości — lubowała się w czytaniu pomiędzy linjami i w odgadywaniu myśli, których się nie wymówiło, wbrew zasadzie, że myśli nie podlegają ani cenzurze, ani cłom komorowym, ani karom sądowym i że myśli najuczciwszych ludzi mogą być bezkarnie gorsze od czynów kryminalisty.

Uroiło się jej (być może, że tkwił w tym domyśle atom słuszności), iż mąż jej wolałby życie tańsze i prostsze, niż to, które ona mu stworzyła; że ten jej estetyzm życiowy i wielkopański tryb domowy w gruncie go męczy i że on to wszystko toleruje jedynie gwoli spokojowi. Lecz w gruncie, choć jego snobizmowi także pochlebia niekiedy kultura i szyk hrabiowski żony — odpoczywa jednak prawdziwie dopiero, kiedy ona w lecie zagranicę do wód wyjeżdża. A on w swoim domu, pozbawionym bibelotów na wszystkich stolikach, pochowanych dywanów i ustawionych w wazonach kwiatów, które ruchy mu utrudniają — odpoczywa z lubością w szlafroku, którego ona nie znosi.

Bo on woli usługę najbrzydszej pokojówki, niż lokaja w rękawiczkach z listami, przynoszonemi na tacy; i woli sam osobiście iść do kuchni z poleceniami, niż raz po raz dzwonić na służbę, z pompą jaśnie pana, którym w młodości nie był.

(D. c. n.)

# 5) ŻÓŁTA TWARZ.

— Spójrz pan tylko uważnym okiem, przyjacielu, — podjął po dłuższej chwili Kawasaki — na to wszystko, co tu widzimy! Czyż nic ci to nie mówi?... Przysłuchaj się dźwiękom tej muzyki, o ile można błogosławione imię muzyki, boskiej harmonji sfer, nadużyć do tej dzikiej kakofonji!... Przypatrz się temu tańcowi, który jest wszystkim innym, lecz nie tańcem!... Spójrz na te kobiety... czyż znajdziesz choć w jednej to, co wielki poeta i nie mniejszy miłośnik kobiet, stary Goethe, nazwał „*das ewig Weibliche*“; to, co jest jedyną siłą, urokiem, wzniosłością i powołaniem niewiasty, co czyni z niej koronę człowieczeństwa — MATKĘ!... I pomyśl pan... była kiedyś piękna część świata, było kilka wielkich i kilkanaście mniejszych narodów, z których każdy wniósł coś do bogatego skarbcza kultury! Europa — ona to bowiem była — poza genialnym rozmachem na polu techniki, dała ludzkości trzy skarby nieporównane: muzykę, taniec i kobietę. Muzykę, która wzbija się na szczyty ducha ludzkiego; taniec, który był wypowiedzeniem się duszy narodu, i kobietę, która była wypowiedzeniem się jego tęsknoty, a której boskie kształty, zakute w marmur Praksytela, były przez wieki krzepiącym ideałem piękna i harmonji. Kobieta ta potrafiła być zarówno sentymentalną „damą serca“ błędnego rycerza, jak i oszalamiającą zmysły i umysł kurtyzana; zarówno pustą „*précieuse*“a, jak i płomienną żagwią rewolucji; zarówno aniołem miłosierdzia, jak i demonem zbrodni; zarówno sponiewieraną kochanką apasza, jak i wzniosłym natchnieniem artysty, — kobieta ta potrafiła być bohaterką, a przede wszystkim... urodzić bohatera! Potrafiła to wszystko dzięki właśnie swej kobiecości, temu „*wieczyscie kobiecemu*“... I cóż się stało? Wasza technika poszła na usługi dzieła mordy i zniszczenia, opanowała powietrze, aby je przy najbliższej sposobności wypełnić hukami bomb i zatruci gazami. A wy?... Poszliście po muzykę do murzynów, po taniec — do ludożerców! Wasze kobiety zaś... Już choćby ten pospólny, zdegenerowany typ zewnętrzny! Ten zanik kobiecych kształtów, harmonijnych linii!... te płaskie piersi i biodra, ta chłopięca główka!... ten kompletny brak naturalnej kobiecości, która roztopiła się w sztucznej perwersji!... Rozumiem, że nie jest to zjawisko powszechne, że bawią się tylko pewne sfery (inne... bawić się nie mogą i nie umieją!); wiem, że „każda reguła ma wyjątki“, niestety — są to tylko wyjątki! W Polsce może częstsze niż gdzieindziej, ze względu na waszą świeżą jeszcze bohaterską tradycję, no, i potrosze... — uśmiechnął się dobrotliwie — ze względu na... ciężką sytuację finansową! Lecz i wy już zarażeni jesteście trądem. Trudno! duch czasu... Ale pytam się pana, czy kobieta, przebywająca w tej zairutej atmosferze, prostytuująca się publicznie w ohydny taniec z pierwszym lepszym, obcym mężczyzną, zaniedbująca dom dla dancingu, wiecznie podniecona i wiecznie znużona, może być dobrą żoną i matką; czy może urodzić i wychować bohatera?... Nie, drogi panie! Kobieta taka nie jest zdolna do wielkiej miłości, ani nawet do wielkiej zbrodni, nie mówiąc już o wielkim czynie!... Tak, przyjacielu! Kobieta w Europie się kończy... Zabiliście w niej kobiecość; wasza zdegenerowana powojenna sztuka, literatura i moda zrobiły z niej wyjałowioną kukłę... Kobieta wasza

się kończy, a wraz z nią kończy się wasza Europa! — zakończył Kawasaki, spokojnie zapalając cygaro.

Czyż mogłem w duchu nie przyznać mu racji? Ten azjata walił, jak taranem, zimnemi, mocnemi, logicznemi argumentami, świadczącemi o jego niezwykłej przenikliwości. A jednak za wszelką cenę chciałem zbić te argumenty, wtłoczyć mu w gardło nienawistny uśmiech uprzejmej wyższości i wrażliwego zadowolenia. Była to jak gdyby ucieczka przed samym sobą, przed zmorą dławiającą mi piersi, przed ukrytym dyskretnie w mgłę konferencyjnych frazesów upiorem dzisiejszej Europy, którego teraz bezlitośnie odsłaniał mi mój towarzysz.

— Myślę, że w słowach pańskich jest dużo przesady! — rzekłem bez przekonania.

— Nie sądzę... i pan tak nie sądzi! — brzmiała spokojna odpowiedź.

— Zgodzi się pan jednak ze mną, Kawasaki, że kobieta nie jest jeszcze wszystkim, nawet w życiu Europy, i nie może stanowić o jej losie!

— Zgadza się, ale sądzę, że i pan zgodzi się ze mną, że w życiu Europy jest wiele jeszcze innych czynników, które świadczą o kompletnej — powiedzmy delikatnie — dezorganizacji! Takie kataklizmy dziejowe, jak wojna lat 1914 — 1918 i przewrót bolszewicki w Rosji, nie przechodzą bezkarnie. Wojna zniszczyła Europę ekonomicznie, bolszewizm zgangrenował ją duchowo. Obie te rzeczy razem trudno jest strawić...

— Mówi pan ciągle o czynnikach rozkładu, — broniłem w dalszym ciągu uparcie swej zagrożonej placówki — a nie znajdujesz jednego słowa dla stron dodatnich i krzepiących.

— Naprzykład?

— Choćby nasza dzielna młodzież ćwicząca, setki związków sportowych, tysiące lekkich atletów, w których odradza się tężyzna fizyczna Europy, zanim się odrodzi jej tężyzna duchowa!

— Ach tak, atleci... — Kawasaki wygodnie poprawił się na krześle — istotnie, dzielni to chłopcy! Podziwiałem ich niejednokrotnie. Tylko, że widzi pan... w razie wojny wyginą oni pierwsi, co do jednego, właśnie dlatego, że są najdzielniejsi!... Pozostaną typki tego rodzaju, co widzimy tutaj, no... a ci chyba nie ocala Europę!

— Zapomina pan także — nie chciałem podać straconej reduty — o szerokich masach chłopskich, zdrowych i silnych, nie dotkniętych jadem rozkładu, na których śmiało może się oprzeć przyszłość Europy!

— Mój przyjacielu, — Kawasaki dobrotliwie poklepał mnie po ramieniu — jestem prawie że entuzjastą na punkcie chłopca. Cenię w nim zdrowy, pierwotny instynkt; podziwiam jego głębokie przywiązanie do kawałka mniej lub więcej nędznej ziemi — przywiązanie, które czyni zeń istotnie potężny korzeń zielonego dębu Ojczyzny. Jeżeli jednak chodzi o państwo, czy kompleks państw, to wiemy dobrze, iż ten sam chłop pójdzie zawsze za tym, kto da mu więcej ziemi i każe mu płacić mniej podatków! Pod tym względem nie zmienił się on od czasów starożytności i myślę, że nieprędko się zmieni... Kryje się w tem zresztą sens głęboki, nie dla każdego dostępny, że

przemijają państwa, Ojczyzna zaś, ściślej mówiąc — rasa, duch plemienny, jest rzeczą trwałą!

Milczałem, przytłoczony mocą argumentacji japończyka.

A on, spokojny i obojętny, ciągnął dalej z uprzejmym uśmiechem:

— Naszkicowałem panu pokrótce, na podstawie bezpośredniej obserwacji, obraz dzisiejszej Europy — obraz, przyzna pan, zgola niepokojący! Nie wspominałem o najważniejszej rzeczy... Byłem także w Genewie. Chciałem się przyjrzeć zbliska tej waszej Lidze Narodów, upewnić się, że się nie mylę.... Przyjrzałem się dokładnie jej działalności i dużo się nauczyłem. Widziałem tam pocieszne, zaiste, godne bogów widowisko! Zwycięzcy stają się zwyciężonymi, zwyciężeni — zwycięzcami.... Wszyscy uroczą się propagując pokój i zastrzegają się przeciwko wojnie. Słowa: „militaryzm“, „zbrojenie“ i tym podobne są wyklęte z genewskiego słownika i działają, jak czerwona płachta na byka. Pocichu zaś, pocichutku każdy z czcigodnych kontrahentów nagwałt się zbroi, jeden drugiego stara się prześcignąć pod względem ilości i jakości śmiertelnych narzędzi — samolotów i łodzi podwodnych, niszczących bomb i gazów trujących. Europejskie „instytuty techniczne“ i „laboratoria chemiczne“ mogłyby o tem coś powiedzieć... I oto... nie zablizniły się jeszcze rany wielkiej wojny, jeszcze tu i owdzie widać przerażające ślady jej zniszczenia, jeszcze miliony kalek, miliony wdów i sierot obnoszą po świecie swe nieszczęście, nie stlały jeszcze kości „nieznanego żołnierza“, a już trzy znane bestje apokaliptyczne: wojna, głód i morowe powietrze podnoszą swe straszliwe głowy!...

— Pan wierzy w możliwość wojny, Kawasaki!?

— Czy ja w nią wierzę? — pogodnie powtórzył Japończyk. — Wszystko jest możliwe na świecie.... Z licznych rozmów, jakie miałem z moimi europejskimi przyjaciółmi, wnioskuję, że coraz powszechniejsze staje się u was zwątpienie w sztukę znachorów z Genewy. Zwątpienie, mój przyjacielu, jest pierwszym stopniem rozpacz, rozpacz zaś łatwo może podsunąć zrozpaczoną myśl szaloną, że jedynym, ostatecznym środkiem na rozplątanie owego węzła gordyjskiego, jakim stała się kwestja europejska, będzie rozcięcie go mieczem... Hasło wojny jest, oczywiście, jak najbardziej niepopularne w szerokich masach, ale, jak wiadomo, wojny nie robią masy! One tylko ponoszą jej ciężary i konsekwencje.... Czy ja wierzę w możliwość wojny? — znów powtórzył. — Ależ niech pan tylko popatrzy dokoła! Jedni, jak Niemcy czy bolszewicy, propagują ją otwarcie, bezwstydnie; inni sprytnie przygotowują się do niej za kulisami, inni znów pocieszają się tem, że wojna do nich nie dotrze; inni wreszcie boją się spojrzeć w twarz groźnej rzeczywistości i są, jak ów struś, chowający głowę we własny ogon... ci są najgłupszy! Wszyscy jednak dobrze wiedzą, że wojna ta będzie czemś wręcz potwornym, toczonym pod wodą i w powietrzu — czemś, wobec czego ostatnia wojna była omal że niewinną zabawą chłopców „w wojsko“. I stąd ów *blady strach*, który czai się w Europie na każdym kroku, ciąży na jej piersiach, odbiera jej sen i spokój, każe jej właśnie oszalać się w ten sposób, jak widzimy tutaj! — Kawasaki pobłażliwie zgarnął z szyi serpentynę, którą mu wdzięcznie zarzuciła jedna z tancerek.

Serpentynami zarzucona już była cała sala, że brodziło się po nich, niby po stosie zwiędłych liści. W powietrzu, o ile tę skondensowaną atmosferę potu

i perfum, dymu i alkoholu, margaryny i wędzących kwiatów, można było nazwać powietrzem, wznosiły się różnobarwne baloniki, nawiązując i tak już zresztą doskonale nawiązane nici wzajemnego, prawdziwie demokratycznego ze względu na różnorodność towarzysztwa, cichego porozumienia. Wśród niedwuznacznych pisków i chichotów strzelały głośno i gęsto korki. *Jazzband* pracował w pocie czoła. Zaczęły się atrakcje programu. Pośrodku sali, ubrana, a raczej rozebrana na modłę wschodnią, młodzianka tancerka, z wyrazem znużenia w grymasie jaskrawych ust i podniecenia w rozszerzonych, podmalowanych oczach, więcej ciemnymi kędziorkami krótkich włosów, zapamiętała wierciła obnażonym brzuchem i skrytymi w przejrzystych napierśnikach niktłymi piersiątkami.

Skoro przestała tańczyć i przebrzmiał ryk zachwytu, nawiązałem przerwana rozmowę. Rozmowa ta, na tle rozbawionego dancingu, była, zaiste, obcowaniem z upiorem z innego świata. A jednak pociągała mnie ona nieodparcie, jak ciągnie czasem toń głęboka stojącego na moście smutnego i samotnego człowieka.

— Niepodobna, aby Europa miała tak ginąć bez pomocnej ręki, — rzekłem niepewnie. — Pozostaje jeszcze Ameryka!

— Ameryka!?!... — ziewnął Kawasaki, dyskretnie spoglądając na zegarek. — Alboż nie ma ona dość własnych kłopotów? Tyle źródeł eksportu odpadło, dolar tak z każdym dniem drożeje na świecie... No, i... — przyćmione oczy Japończyka nagle rozblęły — ta kwestja Pacyfiku, która nie chce się ani rusz pacyfikować!... — urwał, jak gdyby powiedział zbyt wiele, poczem, ze zwykłą już obojętnością, ciągnął. — Skarbiec pełen złota i brzuch pełen jadła to jeszcze nie wszystko! Nie sądzi pan? Jankesi są innego zdania i zamykają spokojnie oczy na widmo ginącej Europy. Ale i to jest polityka strusia, chowającego głowę pod skrzydło — polityka, która prędzej czy później musi się zemścić... Oczywiście, — pocieszył mnie po swemu, to jest, jakby wąż-bia pocieszał połykanego królika, — mała płynie stąd dla was pociecha!

— Więc znikąd niema ratunku?! — prawie krzyknąłem, aż odwrócony do mnie plecami, pochylony młodzian, który właśnie pomagał swej towarzysze poprawiać wysoko umieszczoną podwiązkę, obejrzał się i popatrzał na mnie maślanymi oczkami z iście braterskim współczuciem, zapewne przekonany, że chodzi o tak trudny w dzisiejszych czasach ratunek finansowy.

— Owszem, jest... — głos Kawasakiego nabrał ostrych, drapieźnych tonów — jeden jedyny.... ze Wschodu!

— Nie rozumiem pana, Kawasaki! Nie myśli pan chyba o Rosji? O Rosji bolszewickiej!

— Nie, mój przyjacielu, z pewnością nie! — odparł z mroźnym i mrozącym uśmiechem. — Rosja nie jest dziś Wschodem, ni Zachodem; jest ona, jak już panu wspominałem, gnijącym trupem, zawieszonym w próżni. Oczywiście, zatruwa on nieprzyjemnie powietrze europejskie i będziecie z nim mieli jeszcze wiele kłopotu, ostatecznie jednak zgnije on we własnym jadzie.... Ja myślę o.... prawdziwym Wschodzie!

Otworzyłem szeroko oczy, jakbym ujrzał upiora...

(Dok. nast.).